

Pierre Manent: Populistyczna demagogia albo fanatyzm politycznego centrum

Dziś przynależność do narodu wraz z pojęciem rządu reprezentatywnego wydaje się głównym problemem społeczeństw, które uległy religijnemu wymiarowi globalizacji. W klasycznym okresie reprezentatywnej demokracji rząd starał się uzyskać poparcie społeczne dla modernizacji, która określała funkcjonowanie wszystkich aktorów sceny politycznej. W nowym, oświeconym despotyzmie, który staram się scharakteryzować, reprezentatywny rząd i powszechna zgoda stanowią zaś dla modernizacji przeszkodę – pisał prof. Pierre Manent w nr 11. Teologii Politycznej pt. „Liberalizm – pęknięty fundament”. Tekst przypominamy z okazji premiery numeru „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Locke. Między prawem naturalnym a umową społeczną”.

Dlaczego w użyciu pozostaje termin „populizm”, skoro dysponujemy już doskonale oddającym istotę sprawy słowem „demagogia”, bardzo często określającym to samo zjawisko? Może ulegliśmy złudnemu przekonaniu, że nowe słowo jest w rzeczy samej czymś innym?

Jako hipotezę, którą warto poddać analizie, proponuję następujące twierdzenie: termin „populizm” ma te same negatywne konotacje, które przypisujemy słowu „demagogia”. Warto jednak zauważyć, że gdy uprawianie demagogii przypisywano poszczególnym orientacjom politycznym, mieliśmy do czynienia z demagogią liberalną,

socjalistyczną, konserwatywną – i tak dalej. Gdy mowa w tym kontekście o populizmie, oznacza on samą doktrynę, a może określonego rodzaju treść bądź orientację intelektualną.

Populizm prawicy, populizm lewicy

Pojęcie populizmu niewątpliwie nacechowane jest negatywnie. Dyskredytuje, umniejsza wartość rzeczy. Gdy mówimy o „orientacji populistycznej”, często określamy ją jako „nadmiernie emocjonalną”, „ekstremalną”, „nieodpowiedzialną”. Pojęcia tego nigdy nie obdarzamy jednak wartościowaniem wskazującym na rozumność, umiar i odpowiedzialność. „Populizm” oznacza orientację czy też określone orientacje w wyrażaniu opinii politycznych, które są zazwyczaj dyskredytowane. Opinie te mogą się różnić i można je podzielić zgodnie z podstawową polityczną polaryzacją, w jaką się wpisują: mamy populizm prawicy, skrajnej prawicy, ale też populizm lewicy i skrajnej lewicy. Ważniejszy jednak niż czynnik wyznaczający kierunek populizmu jest sam fakt jego istnienia. Chcielibyśmy, aby tak nie było, ale wynika to z samego faktu używania terminu „populizm” do diagnozy i opisu rzeczywistości. W efekcie Jean-Luc Mélenchon znajduje się na pokładzie tej samej łodzi, którą płynie Marine Le Pen, chociaż uważa on, że to porównanie jest dla niego obraźliwe (abstrahując od aksjologicznej neutralności nauk politycznych – sympatyzuję z nim). Taki sposób zestawiania przywódców skutecznie przesłania istotę krajobrazu politycznego – różnorodność – do tego stopnia, że staje się on niemal niezrozumiały.

Pojawia się wtedy trudność znajdująca wyraz w pytaniu: jak to możliwe, że pojęcie, które – jak się wydaje – stało się niezbędne do rozumienia debaty politycznej, jednocześnie czyni ją nieczytelną i zagmatwaną? Czy wskazuje ono na istnienie nowej rzeczywistości, tworzonej przez tych, których można nazwać populistami, czy też jest raczej produktem intencji tych, którzy je stworzyli i wprowadzili do obiegu? Jeśli populizm może obejmować orientacje tak odległe, jak reprezentowane przez dwoje wymienionych wcześniej liderów francuskiej sceny politycznej, i jeśli dzięki temu buduje trzecią oprócz lewicy i prawicy tożsamość, która bardzo szybko zdobywa nad nimi przewagę, dzieje się tak dlatego, że potężne siły działające z zamiarem całkowitego przeobrażenia krajobrazu politycznego nie budują już podziału między sobą na podstawie klasycznego rozróżnienia lewica – prawica, ale na podstawie opozycji pomiędzy populizmem a... no właśnie, czym? Jeszcze nie jesteśmy w stanie tego sprecyzować, ale skoro „populizm” jest zdecydowanie pejoratywny i implikuje dyskredytację wszystkiego, co określa, będziemy mówić o opozycji w postaci polityki „szlachetnej” i „wartościowej”.

Mamy więc siły, które pragną rekonstrukcji krajobrazu politycznego na podstawie tej dychotomii: populizm prawicy bądź lewicy oraz „szlachetna” forma polityki, bazująca nadal na klasycznej identyfikacji światopoglądowej. Gdy mówię o intencjach tych sił, nie odnoszę się bynajmniej do żadnych teorii spiskowych. Nie próbuję również nadać nowych nazw istniejącym już zjawiskom. Przekształcanie się sceny politycznej jest jednak faktem, podobnie jak są nim wysiłki populistów zmierzające do wyparcia „szlachetnej” i „wartościowej” polityki. Natomiast zdolności lewicy i prawicy do dalszego formowania debaty opartej na rozróżnieniu pomiędzy nimi obiema znacznie zmalały.

Każda strona buduje swoją istotę na tym, co uważa za wspólnotę punktów odniesienia. Wspólnotą taką jest dla prawicy naród, dla lewicy zaś klasa. Nie uległo to zmianie w toku wszystkich znanych nam zawirowań historycznych

Możemy też pochylić się nad różnicą pomiędzy tym, jak te dwa rodzaje polaryzacji opisują świat życia politycznego. Polaryzacja klasyczna, lewica – prawica, przyznaje jednakową wartość obu biegunom układu. Nawet jeśli w

dyskursie jedna strona odbiera drugiej legitymizację, taki system pojmowania rzeczywistości politycznej zbudowany jest na oczywistej równości między nimi, a ekstremizm reprezentuje jego „szarą strefę”, której uprawomocnienie w warunkach demokracji zawsze powinno budzić podejrzenia. Tymczasem sposób definiowania rzeczywistości politycznej przez populizm zasadza się na odgórnie zdefiniowanej nierówności dwóch biegunów. Populizm jest nieuprawniony, „szlachetna” polityka jest zaś jedynym słusznym sposobem opisywania świata i uprawiania dyskursu publicznego.

Wydaje mi się, że nie określiliśmy w sposób dostatecznie zdecydowany tego, czy ten nowy *modus operandi* jest istotnie nowy – i do jakiego stopnia. Cechą wyróżniającą porządku demokratycznego i liberalnego była równość większości i jej opozycji. Nowy porządek, który coraz bardziej nam się narzuca, bazuje na przeciwieństwie opinii uprawnionych i nieuprawnionych. Twierdzenie to zasługuje z pewnością na szersze badania, ale oczywistością wydaje się, że

opisywanym przemianom towarzyszy przejście od porządku zbudowanego na konfrontacji równych sobie stron do takiego, w którym polityczna ortodoksja kłóci się z herezją. Jeśli to prawda, to jesteśmy właśnie w trakcie gwałtownego odejścia w stronę przeciwną względem demokracji, jaką do tej pory znaliśmy.

Nie spieszmy się jednak. Mówiłem wcześniej o polaryzacji zbudowanej na rozróżnieniu pomiędzy lewicą i prawicą bez ich definiowania. Nie jest bowiem łatwo scharakteryzować każdą z tych dwóch stron. Istnieje wiele odmian lewicy, podobnie jest po prawej stronie. Wierzę jednak, że możemy stwierdzić istnienie „realnej prawdy” o prawicy, tak samo jak o lewicy. Prawica i lewica określały dwa typy człowieka politycznego: *człowieka narodowego* po prawej stronie, *człowieka społecznego* po lewej. W klasycznym porządku demokracji prawica i lewica ze swymi ideologiami jawiły się jako równie „populistyczne”.

Istnienie porządku, z którym mamy do czynienia obecnie, jest wynikiem porzucenia przez obie strony ich charakterystycznych „małych populizmów”. Doszła do tego specyficzna retoryka rządzących się swoimi prawami okresów wyborczych, której nie towarzyszy żadna próba zachowania jakiegokolwiek uczciwości. Nie zdradzę tu żadnych sekretów. Wszyscy wiedzą, co się działo we Francji. Powszechnie znane są daty i nazwiska. Otóż prawica jako pierwsza opuściła tu swoich ludzi, gdy w 1974 roku nastąpiła era „liberalizmu i europejskości”. Mniej niż dziesięć lat później w wyniku wewnętrznych przetarasowań swoich ludzi porzuciła lewica, zastępując projekt socjalistyczny projektem europejskim z gorliwością, która skłoniła wszystkich nas do refleksji. Podczas gdy – z przyzwyczajenia i dla rozrywki – skupiliśmy się na wzajemnym obrzucaniu się dobrze znanymi inwektywami, prawica i

lewica ramię w ramię rozpoczęły marsz w europejskim projekcie, bez którego kooperacja będąca zaskoczeniem dla wszystkich Francuzów nie byłaby możliwa.

Fenomen Le Pena

Tym, co przyczyniło się zapewne bardziej niż inne sprawy do ukrycia przed nami procesów niosących ze sobą dominację populizmu, a jednocześnie działo się wprost na naszych oczach, jest fenomen Le Pena. Zajął on centralne miejsce w ciągu trwającej dwadzieścia lat transformacji lewicy i prawicy, podczas której konkretne ruchy mające swoje „populizmy” przekształciły się w to, z czym mamy do czynienia obecnie. Chronologia przemian po obu stronach nakłada się niemal doskonale. Jak kukułka w szwajcarskim zegarku Jean-Marie Le Pen pojawiał się znienacka, by przedstawić nam swoje „niepoprawne politycznie” i oburzające propozycje. Poczucie porzucenia u wyborców prawicy i lewicy rozwinęło się w pewną bezwolność, która pozwoliła im na szybkie przyswojenie sobie tych nowych idei.

Nowy porządek, oparty na opozycji pomiędzy szanującą się polityką a nieakceptowalnymi opiniami, między ortodoksją a herezją, zaczął nabierać kształtów właśnie ze względu na zaistnienie fenomenu Le Pena. To właśnie jemu zawdzięczamy następującą rzeczywistość: partie centrowe tworzą spektakl, w którym szacowni obywatele wyrzucają z miasta wilki, jakoby nie mając z nimi nic wspólnego.

Teraz, gdy Jean-Marie Le Pen opuścił scenę polityczną, ona już go nie potrzebuje. Odegrał swoją rolę. Stał się symbolem, znakiem rozpoznawczym, zakomunikował jasno, że istnieje grupa ludzi, dla której idee narodu i klasy nie są już żadnym punktem odniesienia. Podczas wyborów prezydenckich w 2012 roku socjalista Arnaud Montebourg został „zlepenowany” przez Jeana-François Copé, sekretarza generalnego ówczesnego ugrupowania UMP [Unii na rzecz Ruchu Ludowego – red.], ze względu na swój protekcjonizm. Interesującą obserwacją może być też fakt, że liberalna i europejska polityka gospodarcza została umieszczona pod osłoną ortodoksji, powstałej w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Tych, którzy wyrażają wobec niej wątpliwości, publicznie podejrzewa się o konszachty z samym diabłem.

Ludzie, demokracja, suwerenny naród

Dalsza analiza historii przełomu i transformacji politycznej nie ma tu sensu. Wszelkie odniesienia do pojęć ludu, narodu i klasy straciły sens, przestały być respektowane, a stały się herezją bądź nawet potencjalnym naruszeniem prawa. Triumfy święci obecnie doktryna koncentrująca się na niemal pedantycznej i aroganckiej ortodoksji, której fundamentem jest pozbawienie ludzi, a dokładnie: całych społeczności, suwerenności własnego myślenia, odebranie im jego legitymizacji. Nie mogą samodzielnie tworzyć ram własnych działań. Do decydowania o tym, co ważne, uprawniona jest tylko jednostka – albo cała masa ludzka. Między tymi dwiema skrajnościami nie ma żadnej przestrzeni. Doktryna ta znajduje szerokie zastosowanie w różnych dziedzinach, od ekonomii i polityki do kategorii moralnych i

religii. Dotyczy naszych relacji z całym światem i ma uporządkować nasze związki ze wszystkim, co nas otacza, globalizując w specyficzny sposób nasze działania.

Proces globalizacji ze swoją imponującą mocą i jednoczesną spójnością przebiega dziś pod sztandarem demokracji i jej ciągłego postępu. Tu właśnie rozgrywa się współczesny polityczny dramat, bo demokracja – zarówno w pierwotnym znaczeniu, jak i w nowoczesnej formie – zakłada, że lud ustala sposób rządzenia. W demokracji ateńskiej najważniejsza była grupa mieszkańców miasta – obywatele, którzy nie wyróżniali się niczym poza swoimi zdolnościami politycznymi. Według Arystotelesa tajemnica wielkości Aten polegała na tym, że zarządzane były przez „przywódców ludu”, którzy – choć należeli do warstwy arystokratycznej – bronili interesów zwykłych ludzi i kierowali nimi w sposób bezstronny. W nowoczesnej demokracji pojęcie ludu nabiera innego znaczenia. Nie jest on już częścią miasta. Staje się samym miastem, wszystkimi obywatelami, ich ogółem, zbiorowością. „Naród” to pojęcie, które powstało z połączenia „ludu” i „miasta”.

Różnie możemy odbierać współczesne doświadczenie demokracji, ale wydaje mi się, że bardzo trudno ją zakwestionować. Praktyczne wdrażanie równości obywatelskiej i politycznej, emancypacja człowieka w odniesieniu do różnych nakazów, na których opierał się *ancien régime*, są nierozzerwalnie związane z przynależnością jednostki do nowej organizacji ładu politycznego – suwerennego narodu.

Duchowieństwo i arystokracja to warstwy społeczne mające charakter ponadnarodowy. Równość cywilna i polityczna wymaga jednak połączenia wszystkich elementów w jednolite ciało, które przyjmuje polityczne miano narodu. Ujednolicenie struktury społecznej i zniszczenie wszystkich elementów stojących pomiędzy jednostką a

narodem najmocniej chyba uwidoczniło się we Francji, ale wszędzie proces ten przebiegał podobnie. Jest nieodłączny od ruchów demokratycznych we współczesnych społeczeństwach, jest również nierozzerwalnie związany z ruchem narodowym.

*Triumfy święci obecnie
doktryna koncentrująca się na
niemal pedantycznej i
aroganckiej ortodoksji, której
fundamentem jest
pozbawienie ludzi, a
dokładnie: całych
społeczności, suwerenności
własnego myślenia, odebranie
im jego legitymizacji*

Przełożenie demokracji na naród nie jest jednak proste. „Lud” jest pojęciem niejednoznacznym. Wiadomo, że ruchy nacjonalistyczne, które często w największym stopniu zwracają się do ludu, zarazem najmocniej sprzeciwiają się demokracji i jej

instytucjom, w szczególności – instytucji parlamentu. Parlament, stanowiący coś w rodzaju tymczasowej reprezentacji opinii publicznej, którą wyłaniają wybory, ma w ich oczach charakter przypadkowy i niepodmiotowy. O istocie społeczeństwa decydują trwałe instytucje, takie jak wojsko czy Kościół. Zdaniem nacjonalistów instytucje te strzegą dobra ludu lepiej niż instytucje liberalne, często oskarżane o jego rozpraszenie. Takie właśnie myślenie zdyskredytowało w XX wieku nacjonalizm (nie mówiąc już o jego hiperbolizacji, która doszła do głosu w totalitaryzmach) i stało się również podłożem dla ruchu populistycznego. Ruch ten ma na celu stworzenie „czystej demokracji”, demokracji bez ludu, bez narodu. Demokracji nienarodowej bądź też postnarodowej.

Ruch ten również zakłada, że można całkowicie oddzielić od siebie dwa aspekty demokracji, które do tej pory były komplementarne lub – jak mówił Benjamin Constant – znane nam, mianowicie wolność nowoczesnych i wolność starożytnych. Wolność nowoczesnych odnosi się do ochrony indywidualnych praw i przyjemności jednostki, które są jej głównymi troskami. Wolność starożytnych natomiast odnosi się do uczestnictwa w zbiorowości, we wspólnych działaniach, które stanowiły cały sens ówczesnego życia. Mówiąc bardziej abstrakcyjnie: ruch, o którym mówimy, ma w założeniach uwolnić nas od dziedziczonych uwarunkowań, od wszystkich więzi z grupą, które ostatecznie mają rujnować człowieka. To pewna forma ascezy, która ma zapewnić wolność ostateczną – od wszelkiego przywiązania do tego, co kiedyś było kolektywne, ale też od wszystkiego, co indywidualne.

To może rodzić różne pytania. Ograniczę się jednak do poruszenia kwestii najważniejszej. Omawiany ruch populistyczny porzucił zasadę demokratycznej legitymizacji. Zasady zbiorowego funkcjonowania nie muszą w nim już być zatwierdzone przez zgodę większości. Są autonomiczne, bo ich istnienie zasadza się na tym, jak są skonstruowane. Opierają się na pewnych pojęciach równości, wolności, konkurencji, uczciwości i tak dalej – to reguły, które mogą być intersubiektywnie postrzegane przez wszelkiego rodzaju agendy rządowe, instytucje prywatne, publiczne legitymizujące się kompetencją w danej dziedzinie i społeczną aktywnością zgodnie z przyjętymi kryteriami. System demokratyczny opierający się na pewnej równowadze między władzami wykonawczą i ustawodawczą powoli zastępowany jest systemem określanym przez rozproszoną władzę sądowniczą dokonującą autolegitymizacji. Przyznaje się przy tym często, że jest rodzajem oświeconego despotyzmu. Opinia publiczna nie ma dostępu do zarządów jego instytucji, które dyskutują za

zamkniętymi drzwiami. System ten pachnie przy tym ancien régime'em, wskazującym swoim instytucjom jedyną słuszną drogę interpretacji rzeczywistości.

Ten swoisty *nowy ancien régime* różni się jednak zasadniczo od starego, który niezależne sądy wyznaczył na strażników dziedzicznych przez wieki praw, a co za tym idzie – narzędzia sankcjonowania istniejących nierówności społecznych. Przeciwno tamtemu systemowi świadczy fakt, że władza musiała zatwierdzać zasadność niemal każdego ruchu ówczesnych sądów. W *nowym ancien régime* niezależne sądy same wyznaczają sobie zadanie określenia zasad obowiązujących władze wykonawczą i ustawodawczą, a także rządy, które ustawicznie podejrzewa się o zwalnianie tempa prodemokratycznych przemian w społeczeństwie.

*W nowym, oświeconym
despotyzmie, który staram się
scharakteryzować,
reprezentatywny rząd i
powszechna zgoda stanowią
zaś dla modernizacji
przeszkodę*

Dochodzimy w ten sposób do sugestii, która dotyczy historii rządów w Europie. Rząd reprezentatywny opiera swoją legitymację na konieczności wynikającej z historii

XVIII stulecia, gdy powszechna zgoda społeczna stała się niezbędna władzy wykonawczej do właściwego funkcjonowania i nakłaniania ludzi do akceptacji wdrażanych rozwiązań, zwłaszcza w sferze ekonomicznej. Pojęcie narodu i przynależności do niego, razem z edukacją i językiem,

stało się nieodłączną częścią życia człowieka tamtych czasów i pierwszym trwałym elementem, wokół którego budowano społeczeństwo.

Dziś przynależność do narodu wraz z pojęciem rządu reprezentatywnego wydaje się głównym problemem społeczeństw, które uległy religijnemu wymiarowi globalizacji. W klasycznym okresie reprezentatywnej demokracji rząd starał się uzyskać poparcie społeczne dla modernizacji, która określała funkcjonowanie wszystkich aktorów sceny politycznej. W nowym, oświeconym despotyzmie, który staram się scharakteryzować, reprezentatywny rząd i powszechna zgoda stanowią zaś dla modernizacji przeszkodę.

Rządy Brukseli

Spostrzeżenia te potwierdzają najważniejsze obserwacje dotyczące doświadczeń kryzysu finansowego, który rozpoczął się w 2008 roku. Unia Europejska została zbudowana na nowych zasadach, które próbowałem omówić wyżej. Zasady te nadają legitymizację instytucjom europejskim. Mówimy – choć czasem przechodzi to bez echa – o deficycie demokratycznym wewnątrz Unii Europejskiej, która posiada jurysdykcję, a także rozbudowany system legitymizacji proceduralnej unieważniający i wykluczający legitymizację demokratyczną. Kryzys, jakiego doświadcza wciąż Grecja, wskazuje punkt, w którym brutalność na nowo rozpala nadzieję. Idąc za słowami Ajschylosa: „niech czas zaowocuje wiedzą!”. Domniemani „federaliści” mogą więc wzywać, że oto nadszedł czas do „federalizacji” tego czy owego, a „federalizacja” oznacza w ich ustach dalsze poszerzanie władzy proceduralnej i instytucjonalnej, o której mówimy.

Nie zastąpimy legitymizacji europejskiej polityką narodową, która już raz zawiodła. Zamiast niej użyjemy prestiżu imienia Europy, żeby ją zmiażdżyć i przekazać władzę jeszcze bardziej despotycznym instytucjom, które globalizują rzeczywistość. Kryzys nie zrodzi nowej Europy, nowego człowieka ani społeczeństwa, które mogłoby odnaleźć swoją reprezentację. Będziemy jedynie doświadczać wzrostu znaczenia idei, która wbrew nadziejom i wierze niektórych nie będzie wcale korzystna dla federalnej Europy, a przyjaźń między narodami zostanie poważnie zachwiana.

Oczywiste jest, że Niemcy i Francja pragną poszerzyć swoje wpływy wynikające z ich założycielskiej roli (która dawno już przestała być istotna). Wciąż gorąco sekundują idei Europy, którą chciały budować – a teraz pragną zachować. Niezależnie od błędów popełnionych przez Grecję jej agonია, którą wszyscy od początku obserwują, jedynie pogłębiła kryzys. Nieustające upokorzenie tego państwa nie sprzyja dobremu funkcjonowaniu Europy. Zostało to narzucone jego demokratycznemu systemowi, który stał się całkowicie zależny od przejrzystości publicznych rachunków i biurokracji tajnego rządu dwunastu władców w Brukseli.

Próbowałem dokładnie opisać trendy w polityce europejskiej lub przynajmniej w krajach strefy euro. To, co się stało udziałem Grecji, jest lekcją dla Europy, wskazuje bowiem na nieskuteczność i brutalność polityki europejskiej. Dziś mówimy o bardzo ograniczonych możliwościach rządów krajowych, które utraciły swoją legitymizację. Ubolewając nad korupcją rządów, ich wewnętrzną słabością i bezczynnością, Europa nie ma dla swoich obywateli oferty innej niż dalsze dryfowanie w nieokreślonym kierunku, za horyzont, gdzie kryje

się niewiadoma. Dryfowanie tym bardziej niepewne, że kontrolowane przez bezkrytycznych biurokratów, w których kompetencje należy wierzyć. Tymczasem jedynie przedstawicielstwo narodu jest w stanie ocenić adekwatność przyjętych w rządzeniu kryteriów i dostosować się do nich. Tylko taka forma rządów umożliwia zrównoważony model zarządzania.

Można nie zgadzać się z tym, że rządy pozwalają swoim krajom na coraz większe zadłużanie się. Krytycyzm wobec rządów narodowych jest bardzo często uzasadniony, ale trzeba pamiętać o tym, że obietnica nieograniczonego postępu nie ma nic wspólnego z prawdą, oznacza raczej nieumiejętność komunikowania prawdy przez rządy poszczególnych państw. Ruch globalizacyjny, który towarzyszy dyskusji o postępie, zintensyfikował to, co nazwałbym tradycyjną obietnicą postępu. Upowszechnił przekonanie, że każdy może mieć dowolne pragnienia, a przy tym ignorować zwyczaje obowiązujące w swoim środowisku. Nie ma nic bardziej destrukcyjnego z punktu widzenia narodu, a nawet świata, niż jednostka, która twierdzi, że jest wolna bez ograniczeń, bo „na to zasługuje”. W każdym przypadku rozsądne przestrzeganie reguł i poszanowanie władzy musi być oparte na działaniu wspólnotowym. To tradycyjne ramy demokracji w Europie, które nie gwarantują żadnych konkretnych rezultatów, czego świadkami jesteśmy w ostatnich latach, ale jednocześnie stanowią ramy godności ludzkiej.

Do ograniczeń międzynarodowej gospodarki dochodzi obowiązek wiary w legitymizację globalizacji, jaki nałożyli na siebie sami Europejczycy, jedyni wyznawcy tej religii, która ich nęka i ogranicza. Inni wykorzystują gospodarkę i politykę międzynarodową, by dążyć do

zwiększenia swoich zasobów i prestiżu. Narody spoza Europy rozwijają żagle, podczas gdy Europejczycy je zwijają. Nie mają też do dyspozycji innego statku niż statek widmo, jakim powoli staje się Unia Europejska.

Nie wiemy, czy narody europejskie ponownie odkryją smak niezależności, czy znajdą motywację do działania na rzecz własnych interesów. Jedyne nacjonalizm, jaki dziś się w nich budzi, to ten, który wynika z upokorzenia i zniechęcenia obecnym stanem rzeczy. Można się obawiać, że narody ustawicznie odrzucane, dyskredytowane i karane za formy niezależności ulegną rozpaczliwemu i szkodliwemu nacjonalizmowi. Jeśli tak się stanie, demagogia „populizmów” będzie ponosić znacznie mniejszą odpowiedzialność za ten stan rzeczy niż fanatycznie globalizujące rzeczywistość partie centrum.

Prof. Pierre Manent

Foto: M. Stelmach / Creative Commons (obraz przycięty)

Tłum. Gosia Fraser

Tekst pochodzi z nr 11. Teologii Politycznej pt. „Liberalizm – pęknięty fundament”. Wcześniej ukazał się w „American Affairs Journal”.

Polskie tłumaczenie tekstu ukazało się na łamach portalu Wszystko Co Najważniejsze.

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego